

Rejsy

Potulski: byłem, jestem i będę czerwony

Politykowi na emeryturze trudno usiedzieć str. 14

Zdjęty bluzki i pokazały piersi w słusznej sprawie

- muszą zebrać 28 tys. zł dla chorej 5-latki - str. 17

Nr 116 | 18 marca 2011 | Dziennik Bałtycki | bezpłatny dodatek piątkowy



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Serce w hamaku

Zgubili się w kanionie, odnaleźli w dżungli. Spacerowali z pumą, jedli piranie, budowali canoe, stawiali jajko na gwoździu.

O Karinie i Marcinie

Stencloch z Gdyni,

którzy wyjechali

w podróż poślubną

do Ameryki Południowej

i wrócili z niej

dopiero po czternastu

miesiącach - pisze

Irena Łaszyn

Można powiedzieć, że początek ich znajomości otarł się o kryminał. Ona była nauczycielką, on - uczniem. Nieletnim. I choć nie wiązała ich ta sama szkoła, niektórzy weszli sensacją. Niepotrzebnie. Trzy miesiące później Marcin już był dorosły, a dwa lata później Karina została jego żoną. Pięć lat różnicy? Dziś nikt tego nie zauważa.

- Jesteśmy jednym ciałem - zapewniają.

Poznali się w Teatrze Miejskim w Gdyni. Akurat trwała próba „Wariata i zakonniczy”, sztuki Witkacego w trzech aktach i czterech odsłonach, poświęconej wszystkim wariatom świata, gdy przyszli na spotkanie rekrutacyjne dla nowych pracowników. To znaczy, on przyszedł, a ona wbiegła. Promiennie uśmiechnięta, wpadła akurat w momencie, gdy osoba rekrutująca zapowiadała, że spóźnić się nie wolno.

Ale to nie z tego powodu nie zagrzali w teatrze miejsca, choć spektakl obejrżeli. Powód był banalnie prosty: Chcieli zobaczyć znacznie więcej. Od pierwszej chwili wiedzieli, że zobaczą to razem. Już przy pierwszej odsłonie, gdy padło pytanie: Czy Ty jesteś może harcerzem? I odpo-

wiedź: A co, widać? Bo on był wówczas ubrany w zielone spodnie typu m-65, czarny t-shirt Kultu oraz koszulę moro. Usiedli obok siebie i zaczęli gadać. Okazało się, że oboje są harcerzami, ale z dwóch różnych, właściwie konkurujących ze sobą, organizacji. Rozmawiali o harcerstwie i łamaniu stereotypów. A przy kolejnej odsłonie ustalili, że każdego dnia powinno się zrobić w życiu coś po raz pierwszy.

- Nam się niekiedy udaje wywiązywać z tej sympatycznej zasady nawet kilka razy dziennie - oświadczają.

Dżungla i jacuzzi

To była bardzo długa podróż poślubna. Nie robili planów, kupili bilet w jedną stronę, do Peru. Nie wiedzieli, skąd będą wracać. Wędrowali przez andyjskie góry i amazońską dżunglę, zwiedzali zaginione miasta Inków i hałaśliwe południowoamerykańskie metropolie, przedzierali się przez bagna, pustynie, lodowiec. Pół roku spali w namiocie, kolejne pół - w cudzych domach, tanich hostelach, hamakach rozwieszonych między drzewami lub na rozklekotanych statkach. Czasem zdarzały się cuda i trafiali w miejsca zniewalające luksusem.

Nie zapomną miejscowości Vilcabamba w Ekwadorze. Akurat wrócili z dżungli, wymęczeni, wybrudzeni i wychudzeni, a tu hostel, w którym za jedyne siedem dolarów można nie tylko mieszkać, ale też korzystać z basenu, sauny, jacuzzi. Korzystali.

- I po jednej z takich relaksacyjnych kąpiel odkryłem ze zdumieniem, że z rany na prawej ręce wystaje mi dwucentymetrowe wspomnienie z dżungli - opowiada Marcin. - Początkowo myślałem, że to jakaś ropa, ale potem skonstatowałem, że ta „ropa” stoi pionowo. To była larwa tropikalnej muszycy (Dermatobia Hominis), która mi się załęgła pod skórą.

Owszem, widział wcześniej ten czerwony guzek na przedramieniu. Nawet pokazał go farmaceutycie. Usłyszał, że pewnie coś go ugryzło, a on to rozdrapał. Dostał maść, ale maść nie skutkowała. Aż do tamtego pamiętnego wieczoru w jacuzzi żył w nieświadomości tego, że z dżungli wrócili we troje. Ten biały, dwucentymetrowy kikut, był zapowiedzią kolejnych dwóch centymetrów obrzydliwej larwy.

Karina wyciągnęła ją pęsetą.

Dokończenie na str. 20

Rejsy

Dokończenie ze str. 13

Aco do hardcorowej wyprawy do dżungli: Nie żałują ani chwili spędzonej w ekstremalnych warunkach. Nawet spotkania z plemieniem Matses, które pozbawiło ich definitywnie wyobrażeń o szlachetnych Indianach, zagubionych pośród tropikalnych lasów Peru.

- Domyślaliśmy się, że nie zastaniemy nietkniętych duchem wszechobecnego postępu Indian - podkreślają. - Wiemy, że tych największych z dzikich nikt jeszcze nie odkrył, więc nawet nie bardzo wiadomo, gdzie ich szukać. A wraz z pierwszym białym przybyszem i oni otworzą się na niekoniecznie im przyjazny świat zewnętrzny. Może więc warto uszanować ich chęć pozostania nieodkrytymi?

Matses oskubali ich z pieniędzy i ze złudzeń.

Podczas tej eskapady wszystko robili po raz pierwszy. Używali maczet, strzelb, toporów. Płynęli rzekami pośród powalonych drzew. Spotykali wyjce, kajmany, harpie, insekty. Raz o mało nie nadeptali na leżącego na ścieżce węża - jadowitą kajsakę. Widzieli różowe delfiny i ariranie, największe na świecie wydry, nazywane przez miejscowych rzecznicami wilkami. Gdy skończyło się jeżdżenie, zapolowali na pakę, czyli dużego południowoamerykańskiego gryzonia. Budowali canoe, co - jak się okazuje - wcale nie jest łatwe. Trzeba bowiem znaleźć odpowiedni gatunek palmy, z charakterystycznym wybrzuszeniem w połowie jej wysokości, ścigając ją i wydrążyć.

- Robi się to podobnie jak z arbuзом - tłumaczy obrazowo Karina. - Mięsz palmy jest nawet trochę do tego arbużowego podobny.

Marcin zauważa, że Karina znosiła trudy podróży nad wyraz dzielnie. Wchodziła po pas do wody pełnej pijawek i innych świństw. Dźwigała ciężki plecak, nie skarżąc się na zły los. Łowiła piranie. Jadła byle co. Uśmiechała się.

Na urwanej ścieżce

Czternaście miesięcy w drodze, 430 dni na kontynencie Kolumbia. Co wybrać, gdy ktoś pyta o rzeczy najdziwniejsze, wrażenia najpiękniejsze, przygody najbardziej emocjonujące? To, co zdarzało się z dala od przetrzartych szlaków i tylko ich zachwycało? Czy to, co zachwyca wszystkich wędrowców? To z przewodników czy to z zastyszanych gdzieś opowieści?

Może więc Ekwador i interaktywne Muzeum Intinan, na terenie którego przebiega linia równika? Karina: - Obok stylizowanych chat indiańskich, zmumifikowanych czaszek, kilkunastometrowych skór anakond i węzów boa, a więc tradycji, historii i przyrody Ekwadoru, można doświadczyć tam bardzo ciekawych zjawisk fizycznych, na przykład zauważyć różnicę w sile grawitacji. Możliwe jest także wymanipulowanie jajka, że stanie ono... na gwoździu.

A może Galapagos, będące przedzłonkiem rajów?

- Zwierzęta w rajach nie boją się



Spacer z pumą był nagrodą. Podczas wolontariatu w boliwijskim rezerwacie opiekowali się głównie małpami



Pięć dni spływali dziką rzeką w wydrążonej własnoręcznie dłubance. Podobno palmę wydrąża się jak arbuż



Kochać to patrzeć w tym samym kierunku - tym razem na ośnieżone andyjskie szczyty

Serce w hamaku

człowieka - wyjawiają. - Nurkowaliśmy razem z olbrzymimi żółwiami wodnymi i rekinami. Olbrzymie żółwie żyją na wolności, a samce są trzy razy większe od samic i ważą do 200 kilogramów. A może trekking po wulkanach? Albo Salarau de Uyuni, największa na świecie pustynia solna, na której można robić zdjęcia przekłamujące perspektywę?

Albo Cuzco, Święta Dolina Inków? Albo kanion Colca, najgłębszy na świecie?

O tym kanionie muszą opowiedzieć, bo się w nim zgubili.

- Urwała się ścieżka, którą szliśmy - mówi Marcin. - Zaczęliśmy trawersować zbocze, porośnięte kaktusami i roślinami, które wydzielają specyficzny sok. Po kontakcie ze skórą zamieniał się z białego w czarny i powodował rany. Do dziś mamy blizny.

- Wydostaliśmy się z tej pułapki, ale przeżyliśmy chwilę grozy - nie ukrywa Karina.

Mnóstwo jest fascynujących miejsc, które widzieli na własne oczy. Z dzisiejszej perspektywy tak dalekich, że aż nierealnych.

Wioska Macha w Boliwii, gdzie odbywa się Fiesta del Cruz - Święto Krzyża, znana też jako Tinku, zasługuje na osobną opowieść. Bo to w zasadzie regularne mordobicie, a nie fiesta. - Tradycyjne tańce, alkohol i przebrania to tylko preludium do właściwego sensu święta, czyli brutalnej walki pomiędzy członkami poszczególnych społeczności - uważa Marcin. - Przeciwnicy okładają się wyprostowanymi w łokciach rękami, do tego dochodzą kolana. Walczą z reguły do pierwszej kropli krwi.

Zdaniem Marcina, przypomina to trochę ustawki pseudokibiców piłki nożnej, ale ma dużo bardziej głęboki wymiar kulturowy i religijny dla samych uczestników. To fenomen na skalę światową, interesują się nim antropolodzy kultury.

A Karina dodaje, że biją się też kobiety, ciągnąc się za włosy.

Z małpami po drzewach

Niektórzy pytają Stenclów, gdzie odbywa się Fiesta del Cruz - Święto Krzyża, znana też jako Tinku, zasługuje na osobną opowieść.

- Podróż w dużej mierze zasponsorowali nam goście weselni - odpowiadają. - A żyliśmy bardzo skromnie, staraliśmy się nie wydawać więcej niż 15 dolarów dziennie i przemierzać tysiące kilometrów autostopem.

Poza tym niekiedy pracowali jako wolontariusze, a to zdecydowanie obniżało koszty. Nawet gdy musieli za ten wolontariat... płacić. Co robili? Zajmowali się niepełnosprawnymi dziećmi w Arequipie, organizowali teatr w Ekwadorze, budowali kanały irygacyjne w Peru, opiekowali się dzikimi zwierzętami w rezerwacie Inti Wara Yassi w Boliwii.

- Nie żałujemy nawet dolara wydanego na rehabilitację zwierząt - podkreślają. - One trafiły do tego parku z powodu

człowieka. Wiele z nich zostało przechwyconych z czarnego rynku i cyrków. Wolontariusze próbowali doprowadzić je do takiego stanu, aby mogły być wypuszczone na wolność. Niestety, dla zwierząt przyzwyczajonych od urodzenia do ludzi, a potem porzuconych - rezerwat był jedyną alternatywą dla ciężkich warunków panujących w boliwijskich ogrodach zoologicznych.

Park Ambue Ari, najbardziej

Przywódca małp Mamut podbierał papierosy, ale też chętnie dzielił się, karmiąc opiekunów obślinionymi przez siebie orzeszkami



W trakcie morderczego marszu przez peruwiański las



y, podczas trekkingu do Espiritu Pampy

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

KU

oddalony od La Paz. Karina i Marcin zostali przydzieleni do kwarantanny, gdzie przebywają nowo przybyłe do parku zwierzęta.

- Do naszych podstawowych codziennych obowiązków na-



ńska dżungla. Woda często sięgała do pasa

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

leżało trzykrotne sprzątanie klatek, pranie koców, na których śpią zwierzęta, przygotowywanie posiłków, karmienie naszych milusińskich, zabieranie ich na spacer i wybiegi - wyliczają. - Niektóre spacer, w przypadku nocnych małek, odbywały się po zmroku. Zwierzątka musieliśmy wówczas trzymać na smyczy. Na jej końcu był karabińczyk wpięty do kilkunastometrowej liny, rozpiętej pomiędzy drzewami - w ten sposób miały one całkiem dużą swobodę. A my, siłą rzeczy, musieliśmy skakać po gałęziach razem z nimi, odplątuąc je, jeśli się gdzieś zaplątały. Poza tym podawaliśmy lekarstwa, wyjmowaliśmy kleszcze, czasem przytulaliśmy.

Szczególniej uwagi wymagał Mamut, przywódca wszystkich małych w kwarantannie. Niby mała kapucynka, a traktowany przez wszystkich z szacunkiem, on jako pierwszy dostawał jedzenie. Był inteligentny, wiedział, że warto przeszukiwać kieszenie wolontariuszy, bo można znaleźć tam tak ciekawe rzeczy jak np. iPod albo papierosy.

- Przyjaźń nie polega tylko na braniu - zauważa Karina. - Mamut potrafił też dawać, chętnie karmił swoich ludzkich przyjaciół obślinionym przez siebie orzeszkiem. Lubił też ofiarować swoje usługi pucybuta: Chwytał szczotkę używaną do czyszczenia klatki, maczał ją w wodzie i czyścił nią potem moje buty.

Ale nie wszystkie małe Karinę adorowały. Talia (gatunek wyjca), która nie znosiła kobiet, kiedyś ją zaatakowała. Dotkliwie pogryzła, nie chciała odpuścić.

- Nie byłem w stanie jej odepchnąć ani w inny sposób się od niej uwolnić - opowiada. - Wolę się nie zastanawiać, jak by się to spotkanie skończyło, gdyby inni wolontariusze nie użyli siły. Taka z niej mała!

W nagrodę za wszelkie starania, pod koniec wolontariatu, mogli wyprowadzić na spacer... pumę. Na smyczy!

Teraz są w Gdyni. Karina pracuje w szkole integracyjnej. Marcin studiuje anglistykę. Razem prowadzą Gdynskie Warsztaty Podróżnicze „Wyjźdź w świat”, na które zapraszają innych wędrowców.

W ostatnią niedzielę po raz pierwszy wystąpili na Ogólnopolskich Spotkaniach Podróżników - Kolosy i opowiadali o swojej poślubnej włóczędze, choć jeszcze do niedawna myśleli, że nigdy nie wyruszą na wyprawę, która zainteresuje wytrawne globtroterskie gremium. A jednak! Pokaz zatytułowali „Serce w plecaku”, bo to była opowieść o podróżowaniu i miłości. Na ich blogu <http://karmar.wordpress.com> można przeczytać, że rok wcześniej o tej porze oglądali wodospady w Iguazu, a potem próbowali się dostać autostopem z Brazylii, przez Argentynę, Chile, do Boliwii, wchodzili na wulkan Villarica i lodowiec Perito Moreno, po raz kolejny się upewniali, że jedyną stałą rzeczą w życiu są zmiany.

Ich mieszkanie jest bazą wypadową w inne rejony świata. Irena Easzyńska

Batory, Zaruski i piasek w urnie

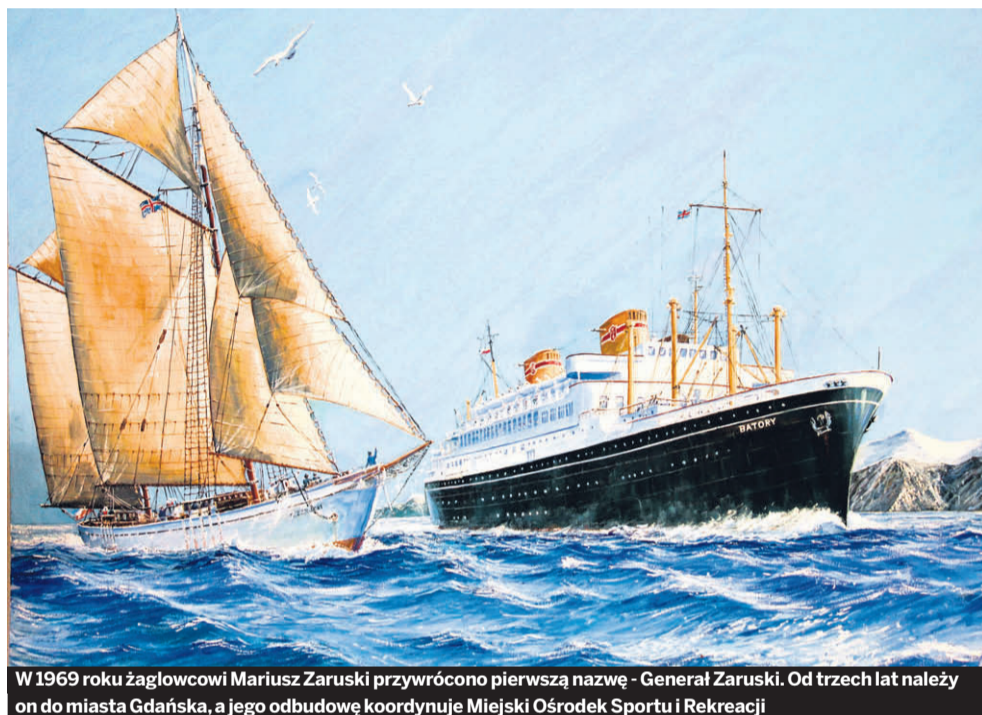
O spotkaniu polskiego transatlantyku z polskimi jachtami w norweskim fiordzie przed 54 laty, które zainspirowało współczesnego malarza, oraz o pewnej mistyfikacji, którą podhalańczycy polegli pod Narwikiem, miejmy nadzieję, puszcza załodze Mariusza Zaruskiego płazem - pisze **Jacek Sieński**

B było 23 czerwca 1957 roku, kiedy od nabrzeża portu w Szczecinie w kierunku Norwegii odbiły dwa żaglowce: Zew Morza i Mariusz Zaruski. Nazwa tego drugiego wypisana była na burcie świeżą farbą. Jeszcze nie tak dawno widniał tam napis: Młoda Gwardia, jak tytuł radzieckiej powieści wojennej Aleksandra Fadiejewa. Nowa nazwa dwumasztowca nawiązywała do pierwotnej - Generał Zaruski, na cześć twórcy polskiego żeglarstwa morskiego w okresie międzywojennym. Zamówiony tuż przed wybuchem wojny, a zbudowany ostatecznie w 1940 roku, Generał Zaruski miał służyć wychowaniu morskemu młodzieży harcerskiej oraz ze szkolnych kół Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Była to pierwsza polska dalekomorska wyprawa żeglarska, po okresie kiedy, w obawie przed ucieczkami do krajów zachodnich, władze komunistyczne zakazały wypływania jachtami poza Półwysep Helski. Zorganizował ją Polski Związek Żeglarski, który właśnie reaktywował działalność, bowiem w 1951 roku on także padł ofiarą stalinowskiej ideologii i został rozwiązany, jako relikw epoki burżuazyjnej.

Aby uzyskać zgodę ówczesnych władz PRL, które się wówczas odcinały od „okresu błędów i wypaczeń”, rejs miał się odbyć pod pretekstem złożenia hołdu żołnierzom Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich i polskich marynarzy, którzy w 1940 roku uczestniczyli w walkach o Narwik. W brygadzie walczyło wielu żołnierzów z regionów nowosądeckiego i podhalańskiego, dlatego też załogom żaglowców przekazano urnę z ziemią z powiatów nowosądeckiego, nowotarskiego, limanowskiego i myślenickiego, gdzie w czasie II wojny światowej toczyły się zacięte boje partyzanckie. Uroczyste przekazanie jej delegacji Wojska Polskiego odbyło się w Nowym Sączu 19 czerwca. Następnie urna trafiła na pokład Mariusza Zaruskiego.

- Mariuszem Zaruskim dowodził kapitan Juliusz Hebel, a Zewem Morza kapitan Włodzimierz Jacowicz - mówi Marek Twardowski, kustosz z Centralnego Muzeum Mor-



W 1969 roku żaglowcowi Mariusz Zaruski przywrócono pierwszą nazwę - Generał Zaruski. Od trzech lat należy on do miasta Gdańska, a jego odbudowę koordynuje Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji

skiego w Gdańsku. - Komandorem rejsu był Gabriel Groch. Wszyscy oni byli związani z gospodarką morską i uprawiali żeglarstwo jeszcze w okresie międzywojennym.

W rejsie do Narwiku oba żaglowce pozostawiły za rufami ponad 4,5 tys. mil morskich. Po drodze odwiedziły Kopenhagę, Göteborg, Oslo, Bergen i Trondheim. 24 lipca, jako pierwsze polskie jachty, przecięły krąg polarny. W wyprawie wzięło łącznie udział 60 żeglarzy z różnych regionów kraju.

Motorniczcy i radzik byli przekonani, że urna zawiera prochy, a nieboszczyk na pokładzie to zguba

- W Bejsfiordzie pod Narwikiem rzuciliśmy na wodę wiązanki suszonych kwiatów, które przed wypłynięciem z kraju powierzyli nam wdowa po generale Zaruskim i rodziny załogi Gromu, zatopionej bombami przez niemieckie samoloty - wspominała jedna z uczestniczek rejsu, kapitan Karmena Stańkowska, znana żeglarka z Wrocławia.

Na cmentarzu wojskowym w Narwiku polscy żeglarze nie tylko złożyli urnę z ziemią przywiezioną z kraju, ale też pobrali stamtąd ziemię do innej urny, aby zawieźć ją do kraju.

Natomiast Batory wypłynął 31 lipca z portu Hawr we Francji w rejs wycieczkowy, z turystami zagranicznymi, do fiordów norweskich. W drodze odwiedził m.in. Bergen i Trondheim, a 7 sierpnia archipelag Lofoty.

Wtedy w norweskich fiordach doszło do niezwykłego spotkania polskiego liniowca z żaglowcami, co na swoim obrazie upamiętnił Marek Fornal z Koszalina, architekt z wykształcenia, a malarz marynista z zamiłowania.

- Batory powrócił do Hawru 14 sierpnia. Ciekawostką jest to, że następnie popłynął do macierzystej Gdyni, którą opuścił 20 sierpnia z polskimi turystami, udając się do Kopenhagi. Był to pierwszy po wojnie rejs wycieczkowy z pasażerami z naszego kraju. Po powrocie z tej podróży, 26 sierpnia, transatlantyk zainaugurował regularne rejsy na linii pasażerskiej Gdynia - Kopenhaga - Southampton - Montreal - dodaje kustosz Twardowski.

Do Gdyni żaglowce powróciły 17 sierpnia. Powitano je uroczysto, przy udziale marynarzy z kompanii honorowej Marynarki Wojennej i żołnierzów podhalańczyków. Urnę z ziemią z Narwiku, osłoniętą białą

czerveną banderą, zniesiono z pokładu Mariusza Zaruskiego na nabrzeże. Przewieziono ją do Nowego Sącza, gdzie 31 sierpnia uroczysto umieszczono w mauzoleum na Starym Cmentarzu, w cokole Piety Sąddeckiej, będącej rzeźbą matki opiekującej śmiercią niewinnie pomordowanych. Pieta przypomina ofiary terroru hitlerowskiego. W jej cokole złożone są także urny z prochami z miejsc straceń, obozów koncentracyjnych i pól bitewnych. Część ziemi z Narwiku umieszczono także w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

W wywiadzie, jakiego przed kilkoma laty kpt. Karmena Stańkowska udzieliła Jolancie Marii Palczyńskiej z biuletynu „Szkwał” (nr 6/2003), wynika, że dopuszczono się wtedy małej mistyfikacji.

- Wieźliśmy w tym rejsie na pokładzie urnę z ziemią zebraną z miejsc, skąd pochodzili polegli w walce o Narwik żołnierze Brygady Strzelców Podhalańskich - wspominała pani kapitan. - W załodze Zaruskiego byli dwaj zawodowi marynarze: motorniczcy i „radzik”, wiadomo, przesądni. Byli przekonani, że wieziemy prochy, a nieboszczyk na pokładzie to zguba dla statku. Po pierwszej silniejszej chwiejbie urna leżała na gretingu pustym. Wsypaliśmy do niej piasek z plaży najbliższego portu. Chyba polegli puszcza nam to płazem.

Jacek Sieński